



TANIEC Z MOTYLAMI

Anna Wysocka-Kalkowska

Anna Wysocka-Kalkowska
„Taniec z motylami”

Copyright © by Anna Wysocka-Kalkowska, 2017
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o., 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**
Korekta: **Bożena i Janusz Sigismundowie**
Projekt okładki: **Jakub Kleczkowski**
Ilustracje na okładce: **Wiktoria Benke**
Skład: **Jacek Antoniewski**

ISBN: 978-83-8119-023-7

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

[Kup księbkę](#)

Spis treści

Motyle odleciały...	5
Rosie decyduje	38
Nowe życie	45
Wyzwania	69
Tęsknota	85
A jednak...	103
Czas na prawdę	125
Siła	161
Gdziekolwiek jesteś, tato...	174
Wspomnienia oczyma Pola	222
Powrót	235

Niedawno, po bardzo długim czasie, spotkałam bliską mi osobę. Moja córka, która od razu zapalała do niej olbrzymią sympatią, zadała mi potem szereg pytań na jej temat. Odpowiadałam z przyjemnością, przywołując zazwyczaj miłe obrazy z dzieciństwa. Ostatnie z nich wywołało u mnie głębokie zamyślenie.

– Mamuś, skoro ta ciocia była taka wyjątkowa, to dlaczego za nią nie tęsknisz?

– Dlaczego myślisz, że nie tęsknię?

– Bo nigdy o niej nie mówisz.

Czy faktycznie, jeśli ktoś znika z naszego życia, dowodem tęsknoty jest częste go wspomnianie? A może bywa tak, że łatwiej jest nie wspominać, by nie odczuwać przykrości.

Główni bohaterowie „Tańca z motylami” tęsknili przez całe życie...

Czy można tęsknić za kimś przez całe życie i co powoduje, że tak często uciekamy? Cóż, „Taniec z motylami” to sentymentalna podróż po wspomnieniach, która dała mi dodatkową możliwość obdarowania niektórych bohaterów cechami charakteru tych, za którymi tęsknię, choć może o tym nie mówię.

Motyle odleciały...

Kiedy zawodowo zajmujesz się malowaniem portretów, poznajesz tysiące twarzy, szkicujesz ołówkiem ich zmarszczki, uśmiechy, dotykasz ich trosk zapisanych w głębinach spojrzeń i zgadujesz marzenia, które tak szczelnie starają się ukryć. Kiedy około dwóch godzin twarzą w twarz siedzi przed tobą obcy człowiek, mimowolnie zaprzyjaźniasz się z jego obliczem.

Czasami aż szkoda oddać portret. Wydaje mi się, że maluję od zawsze. To tak, jakby czas stanął w miejscu, a zmieniały się jedynie pory roku i ludzkie twarze. A ja wciąż taka sama, może czasami trochę bardziej smutna... bo moje życie gdzieś po drodze nieoczekiwanie zmniejszyło prędkość biegu. Mimo to, chyba na swój własny sposób, jestem szczęśliwa. Kiedy robi się w życiu to, co się kocha, każdy ranek daje nam powód do tego, żeby wstać z łóżka – a ja kocham malować. Tyle że gdzieś w głębi serca wiem, że mogłabym mieć więcej, mogłabym chcieć bardziej i mogłabym żyć piękniej, intensywniej, może nawet bardziej prawdziwie... I miłości mi szkoda. Miałam siedemnaście lat, kiedy „zerwałam kwiat” o imieniu Jakub. Do dzisiaj pamiętam zapach tej miłości, pamiętam wiatr we włosach nad brzegiem Sekwany, kiedy wybraliśmy się w rejs, ale najbardziej pamiętam zwykle chwile... Pamiętam wspólny śmiech i długie nocne rozmowy, które sprawiły, że szybciej dojrzałam. Niecały rok później Jakub stwierdził, że spotkaliśmy się zbyt szybko i zwyczajnie odszedł. A moje życie? Cóż. Do starej drewnianej skrzyneczki schowałam to,

co pozostało – starą koszulę, kilka wspólnych piosenek, jakiś wiersz napisany przez niego i ususzoną różę. Szczelnie zamknęłam tę skrzynkę wspomnień. W tej samej skrzynce skryłam wszystkie marzenia i pragnienia. Uśpiłam je niczym motyle, których skrzydła nagle zapomniały, jak latać. Mimo iż minęło dwadzieścia lat, nigdy nie otwieram tej skrzynki, nawet nie wycieram jej z kurzu. A Jakub? Z czasem pojęłam, że była to jednostronna miłość, że byłam jedynie zabawką w jego dłoniach, lalką stojącą na pozytywce... przekręcił klucz, a ona tańczyła, ale melodia nie była dla niego na tyle cenna, by ją zatrzymać. Mimo to nigdy nie żałowałam. Czasami widzę, jak znowu razem oglądamy wschód słońca w górach. Ten jeden obraz pozwala mi wierzyć, że mimo wszystko było warto. Przyzwyczaiałam się do życia bez drugiej osoby przy boku, mam fantastycznych znajomych, a mój bliski przyjaciel Grzegorz, który jest najbardziej zwariowanym człowiekiem na świecie, sprawia, że mimo pustki w sercu, często się śmieję. Czasami po długim dniu pracy zapominam o Jakubie, zamykam oczy i marzę, że mój kwiat zakwita po raz drugi. Przy swoim boku widzę mężczyznę. Mężczyzna ma twarz chłopaka, który wiele lat temu poprosił mnie o portret. Był wyjątkowy, dlatego kiedy odszedł, z pamięci namalowałam go jeszcze raz. Od pewnego czasu wystawiam jego twarz jako pracę reklamującą, mam wtedy wrażenie, że na mnie patrzy, bo miłość to przecież nic innego jak zachwycające spojrzenie, które mimo upływu czasu wciąż nie przestaje błyszczeć. Chłopak na portrecie ma wyjątkowo błyszczące oczy... Może był wtedy zakochany i siedział naprzeciw mnie, myśląc o niej? Nie... zdecydowanie bardziej wolę wersję, że jego oczy błyszczały wtedy dla mnie... ale wyjechał gdzieś bardzo daleko i... tęskni za mną... Rozmarzyłam się i zamknęłam oczy, kiedy z niemalym rozbawieniem w głosie usłyszałam:

– I żyli długo i szczęśliwie, tyle że młodzieniec z portretu nie miał białego konia i przyjechał po księżniczkę na zmarnowanym osle, który w te piękne piątkowe popołudnie zrzucił go z grzbietu tuż pod jej nogi.

– Dobrze, dobrze, skończ już – przerwałam Grzegorzowi, który – miałam wrażenie – dopiero się rozkręcał.

– Znowu śniłaś bajkę o panu z portretu, a tu księżę stoi przed tobą.

– Witaj, księżę. Gdzie zgubiłeś rumaka?

– Piękna pani, dzisiaj o dwudziestej na twojej kanapie, uwierz, rumak będzie na swoim miejscu – zażartował. Jego żarty często wprowadzały mnie w zażenowanie, z którego nie mogłam wyjść.

– Nie, nie, czy ty zawsze musisz... – zajęczałam.

– Nie muszę, ale uwielbiam, jak po tylu latach przyjaźni, ty nadal się rumienisz – przerwał mi w pół zdania.

– Spadaj – odburknęłam, próbując nieudolnie powstrzymać śmiech, który cisnął mi się na usta.

– Moja najdroższa królowo Zuzanno, do której dzisiaj malujesz?

– Dlaczego pytasz?

– Mam dzisiaj wolny dzień, byłem już w twoim mieszkanku i przygotowałem pyszny obiad. W moim mieszkaniu remont, więc pomyślałem, że może trochę u ciebie pomieszkać i wybierzemy się późnym popołudniem na rowery?

– Znowu zrobisz mi bajzel, który będę musiała sprzątać przez cały tydzień po twojej wypowiedzce.

– Cóż, taki już mój urok, najdroższa – odpowiedział i spojrzał na mnie zalotnie, trzepocząc rzęsami.

– No nie, co za tani chwyt, nie wierzę...

– Przecież i tak mi pozwolisz, więc po co się droczysz? – stwierdził.

– Bo lubię patrzeć, kiedy po tylu latach przyjaźni, ty nadal robisz z siebie błazna!

– OK. Jeden do jednego, lecę do domu, nie wracaj późno – rzucił i muskając mnie w policzek, zginął za rogiem kamienicy.

W tym samym momencie do mojego stoiska podeszła kobieta, którą od razu rozpoznałam.

– Witam – powiedziałam z uśmiechem. Kobieta przychodzi do mnie co roku w sierpniu, co roku siada naprzeciw mnie i czeka, aż skończę szkicować jej twarz. Pamiętam, jak pierwszy raz stanęłam ze szkicownikiem w rękę, miałam wtedy 15 lat i postanowiłam, że w wakacje zarobię sobie na wymarzoną sukienkę. Od tego czasu minęły już 23 lata, dotąd wydawało mi się, że się prawie nie zmienia, ale dzisiaj przyniosła pierwszy i ostatni portret...

– Co pani na to? – spytała, widząc moją zaskoczoną minę.

– Inny czas, inne marzenia, inna twarz – odpowiedziałam.

– To prawda, inny czas, inna twarz, ale wciąż te same marzenia – odpowiedziała z zaszklonymi oczami, co trochę mnie zażenowało. – A co z pani marzeniami? – zapytała bezpośrednio.

– Już dawno o nich zapomniałam – odpowiedziałam, co chyba mocno ją zaskoczyło.

Tego dnia malowało mi się ją znacznie trudniej. Oczy miała ślepo wpatrzone w jeden punkt, a mimo to, co chwila szkliły się w nich siłą powstrzymywane łzy. W pewnym momencie jej twarz wydawała mi się tak obca, że przerwałam rysowanie i oparta o leżak zaczęłam jej się dokładnie przyglądać.

– Możemy skończyć jutro? – zapytałam w końcu.

– Przepraszam, wiem, że dzisiaj moja twarz nie jest gotowa na portret, za dużo emocji! – Uśmiechnęła się lekko.

– Może więc jutro?

– Poszłaby pani ze mną na kawę? – zaproponowała.

Zaskoczyła mnie tak bardzo, że nie potrafiłam wymyślić wymówki, więc zwyczajnie przytaknęłam i poprosiłam sąsiada o popilnowanie stoiska.

– Znam tutaj niedaleko takie przyjemne miejsce, zapraszam – kontynuowała. – Ile ma pani lat? – zapytała wprost, kiedy usiadłyśmy w pięknej, klimatycznej knajpce nad brzegiem Wisły.

– 38 – odpowiedziałam.

– Jesteś jeszcze młoda. Ja mam 65 lat, nie mogę już nic zmienić w życiu, a wciąż tyle we mnie tęsknoty. A ty?

– Nie wiem, chyba uświadłam wszelkie tęsknoty. Życie mnie przerosło, jest jak jest.

– A jak jest?

– Mam uroczą kawalerkę na Starym Mieście. Toruń zawsze był miastem, które kochałam i Kocham, więc stwierdziłam, że to moje miejsce na ziemi... Zarabiam, malując. Mam zwa-riowanego kumpla, jazzmana, który więcej mieszka u mnie niż u siebie... I tyle.

– Ten jazzman to miłość?

– Skądże, to przyjaciel. Znamy się od zawsze... Jak nikt inny potrafi mnie rozśmieszyć. Obserwuję jego kolejne związki i chociaż za każdym razem wydaje mu się, że to ta jedyna, to summa summarum i tak ląduje na mojej gościnnej kanapie. Taki brat z wyboru. To chyba wszystko...

– A krewni?

– Mam tylko ciotkę Rosie, mieszka w Pradze, jest znaną aktorką, ma mnóstwo kasy, ale odkąd pamiętam, zawsze była smutna, tak jakby nosiła jakieś brzemie albo jakby życie nie do końca ją usatysfakcjonowało. Była przyjaciółką mojej matki, więc wychowywała mnie po wypadku, w którym zginęli rodzice. Chociaż myślę, że była to dla niej wyjątkowo trudna sytuacja. Kiedy odeszli rodzice, Rosie była u szczytu kariery

zawodowej. Grała w największych produkcjach filmowych, często nie było jej w domu. Kiedy wracała, starała się wynagrodzić mi wszystkie samotne chwile. Czasem myślę, że to przede mną nigdy nie ułożyła sobie życia z mężczyzną. Z drugiej strony... nie wiem.

– Co obecnie robi twoja ciotka?

– Jakies dziesięć lat temu przestała grać i założyła szkołę młodych talentów.

– Piękne życie – podsumowała. – Dlaczego więc była smutna?

– Nigdy się tego nie dowiedziałam. Bywały chwile, kiedy tryskała radością, zazwyczaj wtedy, kiedy grała... ale gdy wracała do domu, ciągle czułam, że coś nie pozwala jej być do końca szczęśliwą. Odczuwałam to szczególnie w święta. Była świetną aktorką, robiła wszystko co mogła, bym miała najpiękniejsze święta na świecie, mimo to jej aktorski kunszt nie pozwalał ukryć łez, które cichaczem wycierała w łazience. Nigdy nie miała u swojego boku mężczyzny na dłużej... Może zwyczajnie za kimś tęskniła? Kiedy otworzyła szkołę, bardzo chciała, abym została z nią w Pradze... Miałam prowadzić lekcje z malunku, ale...

– Ale?

– Musiałam stamtąd uciec.

Spojrzała na mnie pytająco, więc rozwinęłam temat.

– Miłość, która się nie udała.

– Nie udała się?

– On był dużo starszy i spotkał mnie w momencie, kiedy stanął na rozdrożu... Chyba potrzebował kogoś, kto na chwilę zapełni jego życie, a ja się zakochałam... Banalne, prawda?

– Może mówmy sobie po imieniu, jestem Miriam – zaproponowała, podając mi dłoń. – Przecież znamy się prawie 25 lat. Miłość nigdy nie jest banalna. Uciekłaś i nigdy nie wróciłaś?

– Parę razy odwiedziłam Rose, ale zazwyczaj proszę, by to ona przyleciała do Polski.

– A twoi przyjaciele? Przecież musiałaś mieć tam przyjaciół... wszystkich poświęciłaś?

– Wtedy ta ucieczka wydawała mi się jedynym rozwiązaniem.

– Nie tęsknisz?

– Tęskniłam... Chyba najbardziej za Asią, no i oczywiście za Rose.

– Kim była Asia?

– Asia była moją przyjaciółką, kochałam ją jak siostrę.

– I co, już nie kochasz? – zapytała cynicznie.

– Urwałam kontakt... zostały jedynie wspomnienia... ale nadal noszę ją w sercu. Są ludzie, którzy z różnych przyczyn znikają z naszego życia, ale na zawsze pozostają w sercach.

– Czemu nigdy nie odwiedziłaś jej podczas wizyt u Rose?

– Bo widzisz... z czasem jest coraz trudniej... a poza tym ona urodziła dziecko, a ja...

– Nie pojechałaś go zobaczyć?

– Miałam wtedy ciężki czas... Najpierw myślałam, że pojadę za miesiąc, potem za tydzień... a potem każdy kolejny tydzień stawał się kolejnym... aż w końcu było mi wstyd i pomyślałam, że może lepiej zostawić wszystko tak jak jest.

– Nigdy więc przez te lata jej nie spotkałaś?

– Raz jeden życie sprawiło mi niespodziankę. Pojechałam wtedy na krótki urlop do Pragi, spotkałyśmy się przypadkiem, kiedy byłam z Rose na zakupach.

– I?

– Zestresowałam się, nie potrafiłam z nią rozmawiać... Jedyne, co zdołałam z siebie wykrztusić to, że zmieniła kolor włosów. Chciałam jej powiedzieć: „przepraszam”, ale się nie udało, zabrakło mi odwagi.

– W życiu nie wolno zostawiać niedokończonych spraw, a tym bardziej nie wolno zostawiać ludzi, którzy są niezwykle cenni, a z tego, co mówisz, Asia była cenna.

– A ty, Miriam?

– Byłam tancerką – powiedziała, a jej twarz momentalnie się rozświetliła. – Tańczyłam na deskach wielu znanych estrad. Taniec pochłaniał mnie bez reszty, był wszystkim, czego potrzebowałam, ale zestarzałam się i wyszłam z obiegu. Nie mogłam się z tym pogodzić, zamiast spróbować ułożyć sobie życie, to ja rozpamiętywałam i łapałam tanie zlecenia, byle tylko dalej tańczyć. W końcu zabrakło i tanich zleceń, ale wtedy miałam już 55 lat.

– Z czego więc żyjesz?

– Miałam bardzo dobrze sytuowanych rodziców, odziedziczyłam dosyć pokaźny majątek. Poza tym nigdy nie należałam do tych tancerek, które przepuszczały pieniądze na prawo i lewo, więc po tańcu zostało mi dosyć pokaźne konto w banku. Starczy mi do końca życia... Ale co to za życie? Jeśli nie zmienisz swojego, kiedyś będziesz tego żałowała, tak jak ja teraz. Twój kolega jazzman zakocha się w końcu albo rozpije się zmęczony takim stylem życia, a ty zostaniesz samotna i nieszczęśliwa. Nie będzie mowy o tańcu z motylami, zostanie szara rzeczywistość i smutek.

– „Tańcu z motylami”? – zapytałam, a ona znowu się uśmiechnęła.

– Kiedy zamykam oczy, wyobrażam sobie łąkę pełną kwiatów i motyli. Wbiegam na nią bosymi stopami i tańczę, jestem młoda i pełna sił... A potem widzę siebie nieco starszą i starszą, ale wciąż tak samo szczęśliwą, tak samo świeżą jak skrzydła motyla, ale kiedy otwieram oczy, motyle znikają i znowu jestem sama. Piękne, wartościowe życie jest jak taniec z motylami...Chciałabym, by moje znowu takie było.

– Rozumiem... Moje motyle zapomniały, jak się lata... Chyba już na dobre.

– Obserwuję cię przez lata. Nie tylko, kiedy mnie malujesz. Przecież wiesz, jak często pijam kawę w knajpce *vis-à-vis* twojego stoiska malarskiego. Kiedyś tańczyłaś z najpiękniejszymi motylami świata... A teraz – przepraszam cię, muszę to powiedzieć – ale musisz obudzić swoje motyle... póki masz jeszcze czas.

Rozmawialiśmy tak jeszcze godzinę. Miriam była niezwykle ciepłą, szczerą, ale niestety samotną, rozczarowaną swoim obecnym życiem osobą. To dziwne, bo zawsze, kiedy ją malowałam, wydawała mi się wyjątkowo spełnioną i szczęśliwą osobą.

– Chcę poznać twojego jazzmana – powiedziała, kiedy wracaliśmy.

– Słucham?

– Mówisz, że on cię bawi, a ja już nie pamiętam co to śmiech. Mogłabyś mnie kiedyś zaprosić?

– Dobrze – odpowiedziałam nieco zszokowana jej bezpośredniością.

Wymieniłyśmy się telefonami i rozstałyśmy. Tego dnia nie chciało mi się już malować, zwinęłam swoje graty i powoli, spacerkiem ruszyłam w kierunku domu. Było cudowne jesienne popołudnie. Stare Miasto kipiało życiem, mimo że z drzew opadały pierwsze pożółkłe już liście. Usiadłam na chwilę pod pomnikiem Kopernika. Lubiłam obserwować zabieganych ludzi. W tym ich zabieganiu zwykle znajdowałam chwilę ciszy dla samej siebie... Panował gwar i rozgardiasz, a ja jakby wyłączona z tego uroczego obrazka słyszałam jedynie bicie własnego serca, czułam jak muskają mnie ostatnie jesienne promienie słońca i wiedziałam, że życie to dar – chociaż po dzisiejszym spotkaniu z Miriam zupełnie nie wiedziałam,

jak żyć. Posiedziałam tak dłuższą chwilę, a potem powoli wróciłam do domu.

– Jestem – krzyknęłam, wchodząc. Tak jak się tego spodziewałam, Grzegorz spał na kanapie, a wokół niego panował, delikatnie mówiąc, nieład, a może zwyczajnie – cholerny bałagan, który rekompensował mi jednak pięknie pachnący obiad. Nie zdążyłam zdjąć butów, kiedy usłyszałam dzwonek do drzwi.

– Moje dziecko, czy jest Grzegorz, bo obiecał, że od dzisiaj gotuje – pytała moja sąsiadka, pani Tereska. Pani Tereska miała 84 lata i uwielbiała Grzesia. Grzegorz oprócz muzycznej duszy, pielęgnował w sobie pasję do gotowania. Od kiedy pamiętam moja kuchnia była jego królestwem, a pani Tereska pierwszym smakoszem.

– Zapraszam – powiedziałam i wpuściłam ją do środka.

– O rety, znowu ci nabajzłował – powiedziała, a ja uśmiechnęłam się, zastanawiając się, czy w języku polskim w ogóle istnieje słowo „nabajzłował”... W każdym razie pani Tereska używała go bardzo często.

– Niech sobie śpi, chłopiec kochany, ważne, że ugotował – powiedziała staruszka, jednocześnie zaglądając do garnków.

„Dom wariatów” – pomyślałam, kiedy postawiła mi talerz z jedzeniem.

– Nie rozumiem, dlaczego się z nim nie ożenisz – powiedziała, przetykając zupę.

– Pani Teresko... przecież tyle razy pani mówiłam... to mój przyjaciel!

– Przyjaciel to najlepszy mąż, jakiego można sobie wymarzyć, moje dziecko, a ten w pakiecie jeszcze dobrze gotuje.

– Ale jest też mistrzem bajzłowania, jak to pani mówi.

– E tam, bajzel można posprzątać... Kurczę, przecież z niego niezłe ciacho jest, no popatrz! – powiedziała, przyglądając się mu, jak śpi.

– Pani Teresko! – jęknęłam z politowaniem w głosie.

– Co „pani Teresko”... Prawdę mówi, jestem ciacho – odpowiedział, siadając na kanapie, a ona roześmiała się chyba najgłośniej, jak umiała.

– Dzięki wam mam taką smaczną i zabawną starość... Ale tak poważnie, moje kochane dzieci, nie można w dzisiejszym świecie żyć bez miłości. Zwyczajnie nie można!

– Można, jeśli już przeżyło się tę prawdziwą, jedyną, to można – odparłam zniechęcona rozmową.

– Dziecko, o czym ty w ogóle mówisz! Skąd wiesz, że to była jedyna miłość, skoro nie dopuściłaś do siebie żadnej innej? Zobacz, jak wygląda twoje życie!

– No właśnie – wtrącił Grzegorz.

– Twoje życie nie wygląda lepiej, hultaju, więc się nie odzywaj! – uciszyła go. – Różnica pomiędzy wami polega jedynie na tym, że ty, Grzesiu, przynajmniej próbujesz coś zmienić, nieudolnie, ale próbujesz, a Zuza wegetuje – podsumowała.

Wiedziałam, że ma rację, że od pewnego czasu nie czuję w życiu żadnej radości, że nawet malowanie staje się dla mnie obowiązkiem, a przecież niegdyś było pasją. Przypomniałam sobie słowa Miriam, te o tańcu z motylami. Jakże trafnego porównania do szczęścia użyła! Wyobraziłam sobie swoją własną łąkę i motyle, tysiące motyli. Wyobraziłam sobie, że tańczę na niej beztrudnie, że już nie czuję żalu, że jestem lekka i świeża, że znowu mam ochotę się zakochać, ale prawda była taka, że na mojej łące wszystko było czarno-białe. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu pomyślałam, że pragnę to zmienić, że pragnę, by w moim życiu pojawiły się prawdziwie jaskrawokolorowe motyle. Poczulałam też dziwne przekonanie, że nie spotkałam Miriam nadaremno, że powinnam lepiej ją poznać.

– Pamiętasz tę kobietę, dla której co roku maluję jej twarz?

– zapytałam, patrząc na Grzesia.